

JAN MIODEK (Wrocław)

Hugo Steinhaus we wspomnieniach językoznawcy

Wyznam na samym wstępie, że nigdy nie widziałem Hugona Steinhausa na żywo, choć raz – w towarzystwie prof. Romana Kalety – odwiedziłem jego wrocławski dom, lecz było to po śmierci wielkiego matematyka.

A przecież ze Steinhausową legendą obcowałem już w czasach szkoły średniej, czyli w latach 1959–1963. Matematyczką Liceum Ogólnokształcącego im. Stanisława Staszica w Tarnowskich Górach była wtedy Jadwiga Ważewska – niezwykła osobowość, absolutny oryginał, z jednakową swobodą i inwencją poruszająca się po obszarach swojej dyscypliny naukowo-dydaktycznej, jak i szeroko pojętej humanistyki, autorka przekładów z czeskiego, rosyjskiego i francuskiego. Jedyna kobieta w męskim gronie pedagogicznym i uczniowskim – była postrachem językowym wszystkich, nie darowała bowiem nikomu – od dyrektora po każdego z nas, chłopców – najmniejszego gramatycznego czy stylistycznego potknięcia (obniżyła mi raz o stopień ocenę z bezbłędnie napisanej klasówki trygonometrycznej za błąd składniowy w odpowiedzi jednego z zadań). Powtarzała przy tym zawsze – z wyraźnym ciepłem w oczach, że takim samym poprawnościowym maksymalistą jest wielki Hugo Steinhaus.

Jakież było moje rozczulenie, gdy wiele lat później, w czasie wspomnianej wyżej wizyty w domu Steinhausów, w pierwszej przeglądanej teczce korespondencji Profesora zobaczyłem na samym wierzchu listy... Jadwigi Ważewskiej – zarówno o tematyce matematycznej, jak i językowej (nie mogę w tym miejscu nie dopowiedzieć, że na początku studiów polonistycznych we Wrocławiu zostałem obdarowany przez swoją tarnogórską matematyczkę I tomem poradnika językowego prof. Witolda Doroszewskiego pt. *O kulturę słowa*, a tuż przed magisterium dostałem od niej II tom tego dzieła).

Gdzieś na początku lat 60. zobaczyłem wreszcie Hugona Steinhausa – za pośrednictwem wrocławskiej telewizji, w której wygłaszał gawędy popularyzujące wiedzę matematyczną (mało kto już dziś o nich, niestety, pamięta, a przecież były to poczynania pionierskie, przecierające ludziom nauki medialne szlaki). Mam ciągle przed oczyma piękną, posągową twarz wykładowcy, jego wielką dostojność retoryczną, a w tle – porozkładane bryły geometryczne. Czy mogłem wtedy przypuszczać, że sam stanę się kiedyś (od roku 1987) telewizyjnym popularyzatorem wiedzy?

Nazwisko prof. Steinhausa pojawiało się także często w *Rzeczy o języku* – cotygodniowej rubryce „Słowa Polskiego” prowadzonej przez Stefana Reczka, który w r. 1964 przeniósł się z Uniwersytetu Wrocławskiego do Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Rzeszowie. I znów zapytam: czy mogło mi się wówczas śnić, że już wkrótce, bo w r. 1968, obejmę tę rubrykę i będę ją redagował do dziś?

Kultura języka stała się od tamtego czasu moją główną specjalnością naukowo-dydaktyczną, a duchowy kontakt z Hugonem Steinhausem – przede wszystkim z jego słynnym posłaniem: *jeśli chcesz zapalać innych, sam musisz płonąć* – trwa od tego momentu niezmiennie.

Bo czyż mogę się na niego nie powołać chociażby wtedy, gdy przypominam studentom, czytelnikom i telewizjom o historycznej prymarności imienia względem nazwiska i o wynikającej z niej konieczności umieszczenia imienia przed nazwiskiem w porządku składniowym? Pozostały przecież w tradycji wrocławskiego środowiska akademickiego słynne Steinhausowe boje o taki szyk w pismach urzędowych, na listach płac w kwesturze, na kopertach (nadawca tekstu z niepoprawną formułą *Steinhaus Hugo* był przez Profesora ostentacyjnie bojkotowany!).

Przetrwiał też w legendzie, przywoływany przeze mnie przy każdej nadarzającej się okazji, spór Steinhausa o sposób odmiany nazwiska *Knaster*. Sam zainteresowany – prof. Bronisław Knaster – opowiadał się za deklinowaniem *Knastera – Knasterowi – Knasterem*. Steinhaus, zwolennik odmiany *Knastra – Knastrowi – Knastrem*, rewanżował się swemu koledze i sąsiadowi złośliwością gramatyczną *na grządce rosną astery profesora Knastera*. Nie miał racji, bo poza *Lutrem* żadne z nazwisk z wygłosowym *-er* nie doczekało się normatywnie zaaprobowanego odmieniania z tzw. *e ruchomym*, co wcale nie znaczy, że jest ono nie do przyjęcia w kręgach rodzinnych czy przyjacielskich (Jerzy Waldorff np. wspominał zawsze matkę z *Szustrów*, a nie *Szusterów*).

Trudno się też zgodzić z konsekwentnym potępieniem przez Steinhausa takich słów, jak *szereg* – w znaczeniu „wiele, sporo, niemało” czy *wczasowiczka* (używanie pierwszego w języku ogólnym raziło go pewnie jako specjalistę-matematyka; drugi z nich określał mianem obrzydliwego, bo był przyzwyczajony do *wywczasów*, *kuracjuszy* i *kuracjuszek*, a nie do *wczasów* i utworzonych od nich derywatów).

Znając zaś poprawnościowy rygoryzm Profesora, z pewną dozą złośliwości wychwytuje się z jego tekstów takie gramatyczne uchybienia, jak „*Suderрман nie przewyższa Rodziewiczównę*” (zamiast – po czasowniku zaprzeczonym – *Rodziewiczówny*), „*siedmioklasiści*” (zamiast *siódmoklasiści* – tak jak *pierwszoklasiści*, *drugoklasiści*, *szóstoklasiści*, *ósmoklasiści*) czy typowe dla jego rodzinnej Małopolski „*we Wiedniu*” (zamiast poprawnego *w Wiedniu*).

Nie do zaakceptowania jest także konstrukcja „*gdy było zdjęć hełm i wysypać szufłę mialu węglowego, pryskała fontanna iskier*” (prościej i lepiej: *gdy zdjęło się hełm i wysypało szufłę...*).

Są przecież owe teksty, głównie zaś wydane w r. 1970 w Krakowie *Wspomnienia*, przykładem pięknej, wykwintnej polszczyzny, pełnym literackiego wdzięku dokumentem historycznojęzykowym, z którego przebija silna osobowość twórcza Hugona Steinhausa. Językoznawca musi się zaś bez przerwy zatrzymywać nad takimi czy innymi lingwistycznymi dygresjami wielkiego matematyka.

Przywołam dla przykładu jedną z nich. Oto syntagma *udały budynek* opatrzona jest następującym przypisem: „*PT czytelnik raczy uznać: udany atak = pozorny, udały atak = zwycięski*”. – To nic, że dziś nikt w Polsce nie powie o *udalym budynku*. Najważniejsze jest tutaj prześledzenie toku morfologicznego rozumowania Steinhausa, jego dążności do precyzji słowotwórczej i efektywności komunikacyjnej.

Myślę, że ta ostatnia kazała mu się do końca życia posługiwać archaicznymi dopełniaczami liczby mnogiej typu *will, funkcyj, poezyj, koncesyj, linij, lekcij* – różniącymi się od tworów singularnych *willi, funkcji, poezji, koncesji, linii, lekcji* (zaskakują dlatego dwa wypowiedzenia: „*Linij było wtedy 10, stacji ze sto*” oraz „*Holenderskie wsi nadmorskie*”; dlaczego Steinhaus raz użył zapisu cyfrowego *10*, a drugi raz – literowego *sto?*; dlaczego raz stworzył pluralny dopełniacz *linij*, a drugi raz – *stacji?*; czemu nie napisał *wsie?*).

W wypadku ostatniej z przytoczonych form był z pewnością wierny pierwotnej postaci – tak jak szanował w swoich leksykalnych zachowaniach *gimnazistów* z Królestwa (w jego Galicji byli *gimnazjaliści*) oraz *poznaczyków* z Poznania i Wielkopolski (dla większości z nas są to dziś *poznaniacy*). Ja z kolei odbieram z ogromnym sentymentem małopolski i powszechnie znany na Śląsku w mojej młodości *komers*, wyparty już prawie całkowicie przez *bal maturalny*.

Starsze pokolenie językoznawców – z Zenonem Klemensiewiczem i Witoldem Doroszewskim na czele – na pewno z uznaniem wyraziłoby się o „*typie robotnika-chłopa*” użytym przez prof. Steinhausa (złożenia *chłoporobotnik, garażoparking, tchórzofretka, klasopracownia* itp. ze spójką -o- długo nie mogły zyskać aprobaty normatywnej).

Wszyscy powinni natomiast zaakceptować *poradność* ze zdania „*Wychowanie amerykańskie daje prostotę, lojalność, poradność, sprawność fizyczną*” (*poradność* jest swoiście logiczniejsza, bo nawiązuje do parafrazy „ktoś, kto umie sobie w życiu poradzić”; *zaradzić* można dzisiaj tylko „czemuś”, w tym sensie więc uzasadnione jest stwierdzenie konfliktu formalno-znaczeniowego między czasownikiem *zaradzić* a derywatami *zaradny, zaradność*).

W swoich wspomnieniach Hugo Steinhaus często powracał do intelektualnych przeżyć związanych z nauką języków obcych. Przy tej okazji zawsze wszystkim polecał jako najlepszą metodę dydaktyczną czytanie książek w tychże językach. Nie ukrywał przy tym ogromnej fascynacji towarzyszącej przyswajaniu innych systemów leksykalno-gramatycznych.

Bo też myślę, że język jako taki był największą życiową miłością i pasją Profesora. „*Niezgłębione tajemnice mieszczą się w filozofii słowa*” – twierdził wielokrotnie. Z genialnego ich odkrywania – sądzę – rodziły się aforyzmy, unieśmiertelniające go także w historii tego gatunku literackiego, a szerzej – w literaturze polskiej (w antologiach aforyzmów wydawanych w ostatnich latach zbiór zamieszczanych w nich tekstów Steinhausa z reguły lokuje się na drugim miejscu – tuż za dorobkiem największego mistrza tego gatunku – Stanisława Jerzego Leca). Na aforyzm *kula u nogi – ziemia* Julian Tuwim podobno spontanicznie zareagował przyklęknięciem przed Profesorem. A przecież wiele innych pomysłów wielkiego matematyka-mistrza słowa zasługuje na najwyższy intelektualny podziw: *kobieta nienasycona – stokrotka; koń, który rozgląda się za karczmą – rumak; kucharz, co zaprawi każdą zupę – maggik; urywki z oper śpiewane bez słuchu – wyjątki; lupa do małych porcji baraniny – mikroskop; taki, co wszystko reguluje okólnikami – dekretyn; gra, którą przegrał Hitler – totalizator; oglupiony przez kobiety – erotuman; ateizm jest dziełem teologów; unikaj skarżącego się na brak czasu – chce ci zabrać twój; dowcip jest szyfrem – selekcjonuje automatycznie i bezbłędnie adresatów; wykreślić z cudzego dzieła słowo nieprzyzwoite to taka sama bezczelność, jak dopisać takie słowo; na początku był frazes; naukowiec to taki, co wymyślił ten wyraz!; dowcip, który jest tylko dowcipem, nie jest dowcipem; kłamstwo jest poniżej prawdy, fikcja artystyczna powyżej; miłość robi odkrycia, rozpusta wynalazki; dowcipem nie należy celować, tylko trafiać.*

Niech ten wspomnieniowy szkic zakończy jeszcze jedna refleksja osobista. Jak już powiedziałem, tak się szczęśliwie ułożyło moje życie, że stałem się medialnym popularyzatorem wiedzy językoznawczej. Kiedy za tę działalność otrzymywałem w r. 2000 wyróżnienie honorowe Nagrody im. Profesora Hugona Steinhausa w dziedzinie upowszechniania nauki, pomyślałem sobie, że liniowy czas chłopca z tarnogórskiego liceum ogólnokształcącego, w którym tenże chłopiec tyle się nasłuchał o wielkim lwowsko-wrocławskim matematyku, stał się w odniesieniu do tej postaci świata polskiej nauki i kultury czasem kołowym, czasem, który się zamknął, dopełnił.